

STEFAN POMARAŃSKI
podporucznik piechoty.



Z CYKLU
„LISTA STRAT”
(ze wspomnień).

STEFAN POMARAŃSKI

podporucznik piechoty.

Z CYKLU

„LISTA STRAT”

(ze wspomnień).

Kto przeżyje – wolnym będzie;

Kto umiera – wolny już!

„Warszawianka”

ZAMOŚĆ

1915.

Wydawca: Miejska Biblioteka im. A. K. Cebrowskiego w Łowiczu

99-400 Łowicz, os. Bratkowice 3a, tel./fax 46 837 76 03

Ebook opracowany na podstawie egzemplarza książki ze zbiorów

Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Digitalizacja: Dział Automatyzacji Biblioteki Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Na okładce: Karta pocztowa wydana nakładem Komitetu Budowy Pomnika Poległych Peowiaków.

Z ćwiczeń P.O.W. w 1917 r. pod Warszawą. Komendant Piłsudski w rozmowie z Komendantem Szkoły Oficerskiej H. Krokiem-Paszkowskim. Siedzą śp. Wojnar-Opieliński i B. Miedziński; na dalszym planie stoją W. Horyd i K. Krzeszewski, siedzą: S. Pomarański (autor książki),

T. Słoński i I. Wądołkowski.

Redakcja e-wydania: Karolina Wanda Rutkowska

Projekt okładki: Jacek Rutkowski

ISBN 978-83-65492-24-1

Łowicz 2017

Majorowi Miechałowi Żymirskiemu komendantowi 3 p. p. Brygady Piłsudskiego,
na pamiątkę chwil wspólnie przeżytych w grudniu i styczniu
1913/14 r. w Rabce,

poświęcam.

KAPITAN FRANCISZEK GRUDZIŃSKI-PĘKSZYC

Kto przeżyje – wolnym będzie;
Kto umiera – wolny już!
„Warszawianka”.

Człowiek stworzony dla wojny.

Marzenia o wojnie wykołysały jego duszę, praca „na wojnę” pochłonięła jego wiek młodzieńczy... wojna porwała całą jaźń jego za sobą, wdarła się w najskrytsze tajniki myśli; wypieściła sobie godnego bojownika, – który nie splamił sztandaru...

W okresie gorączkowych przygotowań w podziemnych kuźnicach pracy złożył swe zdolności na usługi wojskowej organizacji Polskich Drużyn Strzeleckich. Wstąpił do niej w roku 1910.

Rok ten jest przełomowym w jego życiu, bowiem wtedy zanalizowawszy swą duszę, złożył ją całą, bez zastrzeżeń, z iście żołnierską bezwzględnością Polsce w ofierze. Wyrwał z swego serca wszystko, co było tylko jego własnym, co mogło nadwątlić jego postanowienie, szarpnąć jego wolą.

Nie uznając połowiczności, rzucił dom, zerwał z najbliższą rodziną, zgniótł w piersi kielkujące osobiste uczucie i poświęcił się całkowicie pracy nad wojskowością.

Nie dokończył swych studjów na lwowskiej politechnice, nie skończył w Krakowie filozofji, ale za to w 1912 roku zdaje znakomicie egzamin oficerski w Drużynach Strzeleckich. Dyplom na „podchorążego” uważał za najpiękniejszą kartę w swym życiu. Odtąd los jego łączy się nierozzerwalnie z losami organizacji.

Zamieszkał na stałe w Krakowie. Oddano mu mały pokoik przy Komendzie Drugiej Polskiej Drużyny Strzeleckiej. Mieszkał naprzemian z kilkoma kolegami. Byli oni świadkami życia, jakie

prowadził.

Nie znosił w pokoju swym rzeczy zbytecznych: twardy tapczan, dwa proste stołki, mały stolik, umywalka – to wszystko. Nie pozwalał nigdy palić, nawet podczas największych mrozów. Hartował się ustawicznie najrozmaitszymi sposobami. Naprzykład, po całodzienniej pracy wracał znużony do swego mieszkania. Nie odetchnąwszy nawet, rozpoczynał swój zwykły trening, przebiegając kilka razy tor wyścigowy lub szosę pod parkiem Jordana. Wróciwszy zziębnięty, wylewał sobie na głowę dzbanek wody, rozbierał się, chował nabity brauning pod poduszkę, kładł się na swój tapczan i momentalnie zasypiał.

Do kawiarni z zasady nie chodził. W jadło był powściągliwy i niewybredny. Na ćwiczeniach zamiejskich nigdy nie jadł. Jeśli wziął cokolwiek, oddawał żołnierzom. Podczas dłuższych ćwiczeń przeważnie żywił się rybami, które żołnierze sami złowili. Nie lubił towarzystwa kobiet, a gdy mu przychodziło zabawić kilka koleżanek, robił to z widocznym zakłopotaniem. Obcy wzięłyby go za dziwaka, to też przewidując uśmiech na ustach wielu, okrywał tajemnicą swe praktyki spartańskie, co wyrobiło w nim pozorną skrytość, wyrażającą się w charakterystycznie zaciętych ustach.

Służbistą był niezrównanym.

Rozkaz, zakomunikowany mu w formie koleżeńskiego zlecenia, doprowadzał go do wściekłości; żądał zawsze, by poprzedzała go formułka: „Podchorąży Grudziński, sprawa służbowa!” Na te słowa prostował się jak struna i wysłuchiwał zlecenia. Odpowiadał słowem „Rozkaz!” Późem można było być pewnym, że zostanie spełnionym.

Wymagał też bezwzględnej służbistości od swych podkomendnych. Trzeba było widzieć jak prężył się żołnierz na jego komendę, spokojną i krótką, cichą a doniosłą zarazem. Gdy jego żołnierz pełnił służbę garnizonową, nie spał z nim razem, kontrolował czujność posterunków. To też podwładny jego, widząc współpracę i ustawiczną troskę komendanta, przywiązywał się doń mocno. Nie było rzeczy, którejby dla niego nie zrobiono: każdy rozkaz był jak najsumienniejszy wykonany, każde zlecenie spełnione. Największą karą dla jego żołnierza była krótka wymówka, tak jednak dobitna, tak do głębi ambicji żołnierskiej przemawiająca, że utrzymywała się w pamięci na zawsze.

Zaraz po otrzymaniu stopnia oficerskiego objął kompanję. Ukochał ją gorąco; wszystek prawie czas jej poświęcał, ćwicząc wciąż szeregowców, ucząc podoficerów. To też kompanja jego pod względem sprawności i służbistości była zawsze pierwszą. Nikt tak precyzyjnie nie wykonywał zwrotów, chwytów broni, nikt tak sprawnie nie znalazł się w tyraljerce czy na patrolu, jak żołnierz z pod Grudzińskiego.

Określenie „uczeń Grudzińskiego” stało się z czasem gwarancją żołnierskiego wykształcenia.

W lokalu Komendy miał swój stolik, przy którym pisał papiery służbowe, lub studjował dzieła z zakresu wojskowości. Nad stolikiem wisiał napis: „Pracującemu nie podawaj ręki”.

Jedyną lekturę jego stanowiły dzieła wojskowe, przeważnie niemieckie. Ze szczególnym zamięłowaniem oddawał się studjom nad organizacją armji niemieckiej, której wartość oceniał i na której wzorował projekty przyszłego wojska polskiego.

W szkole oficerskiej wykładał taktykę i strategję. Słyszałem go na kursie instruktorskim w Nowym Sączu. Mówił wolno, zdaniami krótkimi, urywanymi, jakby fragmentami rozkazu. Każde zdanie było całością, poparte zawsze przykładem z dziejów wojen. Szczególnie „Walka” zdawała się dlań być żywiołem. Gdy o niej mówił, stalowe oczy zapalały mu się krótkim błyskiem, nozdrza orlego nosa drgały, cała twarz promieniała na słuchaczy, którzy z zapartym oddechem wsłuchiwali się w jego cenne, twarde słowa.

W czasie wojny Bałkańskiej, gdy Serbja ogłosiła brak oficerów, pośpieszył jako ochotnik, z paroma zaledwie koronami w kieszeni. Pociągnęła go tu sama wojna, nie słusność sprawy. W Belgradzie nie przyjęto go jednak. O chłodzie i głodzie bez grosza, gdyż ostatnią monetę oddał spotkanym nędzarzom, po parotygodniowej tułaczce wrócił do Krakowa.

Niepowodzenie nie zniechęca go wcale. Z dawnym zapalem oddaje się dotychczasowej pracy, kształcąc swą wiedzę wojskową nadal. Przekładał niemieckie dzieła wojskowe, pisał oryginalną pracę – „Taktykę”.

Przed wojną jeszcze, na ćwiczeniach polowych wykazywał niezwykle zdolności, jako partyzant. Jego strona nie popełniła nigdy błędu. Z wielu kilka przypomnę.

Pod Krzeszowicami, jako komendant oddziału partyzanckiego, miał za zadanie odciąć powrót do twierdzy krakowskiej kompanji regularnego wojska (dowodził Żymirski). Wywiązał się znakomicie: aby wciągnąć i zgnieść przeciwnika w przygotowanej zasadzce, nie zawahał się trzymać żołnierzy dwie i pół godziny w wodzie po kolana.

Na dużych ćwiczeniach przedwakacyjnych (1913 rok) gdowskiej i krakowskiej Drużyny, na których był obecny prezes sokoła Ameryki Północnej dr. Starzyński, jedną stroną dowodził Żymirski, drugą Grudziński.

Grudziński, jako partyzant miał za zadanie obronić przeprawę na Rabie pod Gdowem; Żymirski, jako dowódca oddziałów regularnych z podstawą w Wieliczce, miał stłumić powstanie.

Żymirski, szykujący się do wymarszu w stronę Gdowa, został z prawego skrzydła niespodzianie zaatakowany przez powstańców. Odruchowo skierował całą uwagę w tę stronę i zwrócił się przeciwko małemu oddziałowi który, później okazał się patroliem tylko. Rozwinął przeciwko natrętom kompanję, gdy wtem od strony całkiem przeciwnej napada go ogniem salwowym duży oddział. Powstało zamieszanie, które niejednokrotnie sownie można opłacić. Panice zapobiegł zorientowany szybko Żymirski, który momentalnie przeciwko nowemu nieprzyjacielowi rzucił rezerwy, a niebawem i cały front przybrał odpowiednią dyрекcję.

Okazało się, że Grudziński, wychodząc z założenia, że przeprawę o wiele łatwiej bronić

zdała od rzeki, do której małe partyzanckie oddziały mogą być jednym okalającym atakiem regularnej jednostki zepchnięte, wyszedł wcześniej, niż było przewidzianym w założeniu, by niespodzianie, nieprzygotowanego na napad nieprzyjaciela, zdezorjentować i rozbić. Stąd nazwa, która z czasem stała się przydomek, „Przyczaja”.

W roku 1913 prowadził samodzielnie dwumiesięczny wakacyjny kurs instruktorski P. Dr. Strz. w Rabce. Na zakończenie kursu odbył wycieczkę przez Tatry i Pieniny, gdzie na Zawracie i Hali Gąsienicowej urządził strzelanie ostrymi ładunkami, co w czasie pokoju było zabronionym. W uciążliwych tych marszach nie przestawał kształcić żołnierzy, wykorzystując wszelką okoliczność dla celów wojskowych. Po każdym takim męczącym dniu urządzał wieczorem pogadanki wojskowe.

Pierwszy miesiąc wakacji 1914 r. poświęcił na zorganizowanie i poprowadzenie wędrownego kursu podoficerskiego. Z oddziałem tym przewędrował drogę przez Bochnię, Tarnów, Lipnicę, Myślenice, Wieliczkę do Krakowa. Ten sam gościniec przemierzył później jako komendant bataljonu wojującego już wojska polskiego.

Co pewien czas organizował ze swych podkomendnych oddziały robotnicze, z którymi pracował, na przykład, przy regulacji Wisły, lub w kamieniołomach w Rabce.

Ostatnią fazą przedwojenną był kurs instruktorski, zorganizowany przez Komendę Naczelną P. Dr. Strz. w Nowym Sączu. Przed samym kursem prowadził nocne ćwiczenia nad granicą rosyjską, pod Ojcowem, by przeprowadzającemu się na kurs oddziałowi, złożonemu z królewaków, przyjść z ewentualną pomocą. Oddział ten, złożony z 33 ludzi, ja prowadziłem i wtedy pierwszy raz bezpośrednio zetknęłem się z Grudzińskim. Na kursie prowadzi szkołę żołnierską i wyklada na szkole oficerskiej taktykę i strategię, będąc zarazem komendantem kompanii, kurs bowiem był sformowany w bataljon. Kompanja ta doszła pod jego kierunkiem do takiej precyzji w wyćwiczeniu, że prześcignęła nawet ze starych podoficerów złożoną. Tu wykazał się jako zdolny pedagog, potrafiwszy w tak krótkim czasie tak duże rezultaty osiągnąć.

Na kursie zaskoczyła go mobilizacja. Powołany został w początkach wojny austrojękoserbskiej. Okoliczności wojny rzuciły go na plac boju przeciwko Czarnogórcom. Tam dochodziły go wieści o mobilizacji Drużyn, o wojnie z Rosją, o zajęciu przez pierwsze oddziały strzeleckie Miechowa.

Cierpienia moralne żarły go mocno. Jego żołnierze, starzy towarzysze, dla których był wzorem, walczą za Polskę. Jego tam brak. On zdradził. Szybko powziął decyzję. Nie przebijając w środkach, postanowił dostać się na tyły, skąd łatwiej mógłby zameldować się do służby pod swoim wymarzonym znakiem. Udaje chorego. Przyjeżdża do Lwowa. Melduje się u ówczesnego komendanta okręgu połączonych organizacji strzeleckich dr. Marjana Kukiela i z pierwszym transportem przyjeżdża do Krakowa, skąd dalej do Kielc.

Przed wyjazdem na „świętą wojnę” pogodził się z rodziną, i, jak pisze w swych zapiskach, znalezionych po jego śmierci, poszedł do spowiedzi i komunji, by czystym duchowo rozpocząć swe „nowe życie”.

30 sierpnia zameldował się w Kwaterze Głównej.

Dopiero w parę dni później dostaje przydzielenie i komendę nad bataljonem rekruckim, złożonym z samych ochotników-kielczan, szóstym z kolei. Odtąd wciąż ćwiczenie rekrutów, przerwane wreszcie drugim odwrotem naszym z Kielc. Ponieważ żołnierz nie był jeszcze na tyle przygotowanym, by w walkach odwrotowych wziąć udział, przeto wysłano cały ten bataljon kolejną do Choczni pod Wadowice, gdzie miano wszelkie braki i w wyćwiczeniu i w wyekwipowaniu uzupełnić.

Grudziński poza zajęciami w bataljonie, organizuje pogawędki wieczorne z chłopami. Śnać musieli zapamiętać młodą, gorącą duszę, kiedy na wieść o śmierci, zakupili na jego intencję uroczystą mszę żałobną.

Kiedy bataljon jego został przydzielony do drugiej brygady i miał iść pod komendę narzuconą z góry i obcą duchowi naszemu, zdaje dowództwo na Kitaja i 24 września już po Szczucińskiej przeprawie, w Borusowej, melduje się Komendantowi Głównemu, tłumacząc się, że sam, bez żołnierzy przybywa, bowiem ich niecnie, przemocą tylko zagrabiono.

Objął kompanię w bataljonie Fleszara. Gdy ten spadł z konia, łamiąc sobie dwa żebra, dowodzi chwilowo bataljonem, do przybycia Żymirskiego.

Dziwny był ich wzajemny stosunek: choć przyjaciele w życiu prywatnym, zimni jednak, gdy znaleźli się w stosunku służbowym.

Był bez kwestji najlepszym kompanijnym w bataljonie. Kompanja jego najlepiej wyćwiczona, najbardziej karna; nie zawiodła nigdy na zbiórkę. W marszu zawsze wesoła, chociażby był najuciążliwszy. Żołnierz jego był najlepiej ubrany, najbardziej przygotowany bojowo. Tak umiał na nich wpłynąć, że gdy, na przykład, nie dostali prowiantu, czy należnego ekwipunku, czy otrzymali gorsze kwatery, czy wreszcie cięższą służbę, nigdy nie szemrali. Byli to przeważnie uczniowie dzisiejszego podpułkownika i dowódcy pierwszego pułku piechoty Śmigłego-Rydza, przedwojennego ich komendanta ze Związku Strzeleckiego w Brzeżanach.

Urządzał często z żołnierzami kolacje koleżeńskie z zaoszczędzonego czy zakupionego prowiantu. Zapraszała na nie kompanja komendanta i innych oficerów bataljonu.

W Janowicach Bagnistych przyszły z Komendy Głównej nominacje oficerskie (10. X. 14), między którymi Grudziński został porucznikiem. Wtenczas kompanja jego dla uczczenia pierwszych polskich oficerów, urządziła wieczór koleżeński. Na każdym kroku widać było zbratanie się żołnierzy i oficerów jego kompanii. Najmniejsze życzenie jego było już rozkazem. Wiedząc, na przykład, że lubi śpiew i muzykę, niejednokrotnie po całodziennym marszu zbierali się

u niego, i, żeby uprzyjemnić mu czas, urządzali śpiew chóralny przy wtórze grajków na organkach lub harmonji.

Sprawność bojową jego kompanji i wartość jego samego, jako oficera w boju, ilustruje doskonale bitwa pod Laskami. Oto jeden z jej fragmentów: Cały nasz pułk w rezerwie dywizji pod wsią Laski. Moskale, zorjentowawszy się w sytuacji, drugiego dnia bitwy (23. X) sprawili naszym istne piekło. Sama wieś, na którą skoncentrowali niezwykle silny ogień, objęta pożarem; ludzie i konie padają jak muchy. Zdenerwowanie widoczne na żołnierzach. I tu właśnie Grudziński z kompanią wykazał swą wartość: jego kompanja nie drgnęła.

W sąsiednią stodołę uderza granat i zabija dwóch żołnierzy, spoczywających na słomie. Jednego z nich przecina w pół. Pochowano zebrane szczątki ludzkie; pluton jego kompanii wykopał grób, usypał mogiłę i zbił krzyż z pni drzewnych.

Wtem przychodzi rozkaz do ataku. Zależało na szybkości. Trzeba było natychmiast zgęścić zachwiany front, by zapobiedz przerwaniu linii. Grudziński ma iść pierwszy. Podrywa kompanję, formuje. Fala ognia artyleryjskiego się wzmacza; granaty i szrapnele padają wokół. Ten i ów okazał pewne zdenerwowanie uchylił głowy. Swoim zwyczajem, dla przywrócenia równowagi i zimnej krwi, zakomenderował ruchy bronią. Wykonano nierówno. Powtarza więc: „gotuj broń”. Zniecierpliwiony Żymirski daje ponownie rozkaz. Kompanja ruszyła. Grudziński ani na chwilę nie utracił zimnej krwi i swym zachowaniem wpłynął przełomowo na wartość żołnierza w momencie decydującym, tak, że ten, jak murowany, wykonał sprawnie formacje bojowe. Uzyskawszy linię okopów, pozostał na niej. Pod wieczór spodziewany jest kontratak rosyjski. Silne przygotowania. Wtem Żymirski zostaje ranny wraz z pięcioma ordynansami. Pozostałych trzech wysyła do Grudzińskiego, by objął dowództwo nad bataljonem, lecz i ten po dziesięciu minutach pada ranny. Mówił potem, wspominając tę chwilę, że miał wtedy gorące przeświadczenie, iż nie zginie, gdyż sprawie był jeszcze potrzebny.

W miesiąc po zranieniu powraca do pułku operującego wtenczas na Podhalu. 28 listopada melduje się do służby. Niezagojona całkowicie rana czyni go niezdatnym narazie do linii. Zostaje chwilowo przy Sztapie Głównym. Dopiero w bitwie pod Łowczówkiem, w zastępstwie rannego pod Limanową kapitana Sława-Zwierzyńskiego, prowadzi bataljon, powierzony mu przy reorganizacji pułku w brygadę w Nowym Sączu (I batalionu, 2 pułku podpułkownika Norwida, dziś majora Berbeckiego). Wypadkowo spotkałem go wtenczas. Był chwilowo w pierwszej rezerwie, ukrytej w lasku brzozowym. Żołnierze leżeli pokodem przytuleni do liściastej pościeli. Grudziński stał między nimi i opowiadał analogiczne do okoliczności obrazki z różnych wojen.

Po bitwie odwołany został do Sztabu, w którym pracował podczas pobytu brygady w Lipnicy Murowanej i w Kątach. W tych .ostatnich otrzymał funkcję komendanta placu. Dla niego jednego pobyt w Kątach nie był spoczynkiem. Od rana do wieczora nużąca i monotonna służba;

w nocy niejednokrotnie inspekcja wart i posterunków.

Opracował wtedy regulamin dla służby garnizonowej i instrukcję dla komendantów placu.

Nad Nidą walczył jako komendant kompanji w bataljonie Fleszara. Pewnego razu, wraz z podporucznikiem Jurem-Gorzechowskim, udałem się na pozycje VI bataljonu. Spotkałem Grudzińskiego. Prosiłem, by mnie oprowadził po swoim odcinku. Z chęcią przystał. Przypomniałem mu moment naszego zapoznania się, jeszcze przed wojną, na nocnych pomocniczych ćwiczeniach, przy przejściu granicy na kurs mego oddziału. Wspominał dawne czasy. Zaprosił mnie do swojej ziemianki. Pokazywał opracowane przez siebie plany pozycji rosyjskich na górze Skowronnej, oraz rozpoczętą pracę z dziedziny taktyki walk pozycyjnych. Tutaj co wieczór zbierał swych podoficerów, z którymi przerabiał regulaminy.

W bitwie pod Konarami, a właściwie we fragmencie tej bitwy – pod Żernikami, zostaje lekko ranny w bok kulą szrapnelową.

Oslabiony narazie wpływem krwi pojechał do szpitala. Przyjechawszy do Jędrzejowa, czuł się już o tyle lepiej, iż zdecydował, że rana jego nie przeszkadza mu nawet w chodzeniu. Oficerskie sumienie ,nie pozwoliło mu z niej korzystać. Wraca więc do brygady 27 maja, w dniu następnym późnym już wieczorem jest z powrotem przy swej kompanji. Żołnierze przywitali go radosnym okrzykiem „hurra”, co tak zaalarmowało Moskali, że zaczęli puszczać rakiety i wysłali patrole ubezpieczające, z których jeden dostał się do niewoli.

Dzień 3 czerwca, ostatni dzień życia młodego oficera polskiego.

Pozycje pod Maliborzycami.

Koło godziny jedenastej przed południem, wyszedł z dwoma żołnierzami na patrol pod pozycje nieprzyjacielskie.

Dniem niezwykle pogodnym zegnała go ziemia.

Podszedł blisko. Czujny obserwator go dostrzegł; wziął na cel. Wywiązała się strzelanina. Padł trafiony kulą w głowę. Ostatnim błyskiem świadomości zdaje sobie sprawę, że traci wzrok; kalectwo odsunie go od walki, od pracy dla sprawy.

Zmierzył więc w serce, by śmierć – stała się jego wolą... bowiem jeszcze za komendantury placu w Kętach miał senne widzenie, jakoby wróżka śmierć mu przyrzekła; odpowiedział, że nie wierzy, bo niema w tem jego woli. Teraz, gdy wystrzałem skierowanym własną ręką w serce odebrał mu ostatnią iskrę życia, – tak chciał.

O zwłoki jego rozegrała się walka. Komendant Fleszar wziął pod ogień ciężkich baterji pozycje wroga. Zmusił go do milczenia. Przy muzyce działowej wyniesiono zimne już zwłoki z pola obstrzału.

W wiejskim kościółku pogodny, jak zwykle, leżał spokojnie w skromnej sosnowej trumnie.

Wartę honorową trzymają podoficerowie jego kompanji.

Na piersiach sztandar z orłem... może ten sam, którego od pohańbienia, już dawno, za lwowskich jeszcze czasów, podczas demonstracji przed konsulem rosyjskim, uchronił. Zerwał go wtedy z drzewca i na piersi schował.

Na smętarz wioskowy odprowadził go ks kapelan Żydkiewicz, i Komendant Główny, i koledzy i ci najukochańsi, najbiedniejsi żołnierze jego

Rozkaz Komendanta Głównego na dwa dni przed śmiercią wydany, mianował go kapitanem.

Warszawa w Listopadzie 1915 r.

KAPITAN KAZIMIERZ HERWIN PIĄTEK

Śpij kolego w ciemnym grobie.

Niech się Polska przyśni Tobie.

Piosnka żołnierska.

Zginął cicho, jak żył. Gdym spytał żołnierzy, powracającego z pozycji bataljonu piątego, gdzie komendant, odpowiedziano mi, że został jeszcze z kilkunastoma. Zapewniono mnie, że żyje i jest cały. Bataljon nasz (III kapitana Wieczorkiewicza) o zmroku zajął pozycje; jeden z ubezpieczających patroli znalazł na naszym przedpolu, a miejscu dzisiejszego ataku piątego bataljonu, leżącego bez przytomności kapitana Herwina. Ran był w głowę, powyżej prawego ucha. Kula została. Po pierwszym opatrunku odwieziono go do naszego szpitala polowego. Nadziei nie robiono żadnych. Gdy na drugi dzień odwieziono mnie rannego, pytałem się o niego. Wskazano mi wóz sanitarny, w którym leżał. Żył jeszcze. Tegoż dnia (20 maja) wieczorem, nie odzyskawszy przytomności, skonał.

Pamiętam go od pierwszego momentu wojny.

Gdym przyszedł ze strzeleckim oddziałem Drużyn do Oleandrów, gdzie Komendant Główny zorganizował pierwszą kompanję, uderzył mnie jeden dźwięk komendy, głos niezwykle pełny, głęboki, czysty. Na drugi dzień poznałem jego właściciela: był to niepozorny, na pierwszy rzut oka, średniego wzrostu, oficer, w okularach, prostym żołnierskim mundurze, jaskrawo żółtych, widać, że nowych, na wojnę kupionych, sztylpach. Dziwną sympatję poczułem do tego człowieka. Odtąd zawsze z uwagą i jakimś upodobaniem wsłuchiwałem się w jego komendę.

Gościńcem warszawskim, jako przedni oddział, szła pierwsza kompanja kadrowa. Żołnierze

szli wesoło, z nieskażoną jeszcze nadzieją. Jako komendant pierwszego plutonu Herwin, wtenczas podporucznik, pełnił służbę ubezpieczającą. Widzieliśmy sumienność i zamięłowanie, z jakim pełnił tę służbę. Nabraliśmy takiego doń zaufania, że, kiedy Herwin ubezpieczał, nieprzyzwyczajony jeszcze do wszelkich okoliczności wojennych żołnierz, szedł rażniej. Gdzie tylko spostrzeżono go, obserwującego przez okulary i dużą teatralną lornetkę, niepewność zastępował wesoły uśmiech.

W Miechowie, po dotychczasowym naszym komendancie Kasprzyckim, przeniesionym do sztabu, kierownictwo kompanji powierzono Herwinowi. Pluton jego objął podporucznik Słoniowski.

Słowa Komendanta Głównego z jego pierwszego rozkazu dziennego o stosunku oficera do szeregowca, przechowywał głęboko w sercu do końca życia. Dla tego wiernego posłuszeństwa rozkazowi Komendanta, pokochaliśmy go bardzo. Pierwsze okresy naszego wojowania bez doświadczenia, bez przygotowanej już zawczasu organizacji wojennej, były niezwykle ciężkie do przeżycia. Szkołę tę pierwszą odbył Herwin, jedząc nieomaszczone ziemniaki z misy żołnierskiej, przymierając głodem, gdy żołnierz chleba nie miał, śpiąc na boisku lub podwórku, a zawsze tam, gdzie najniewygodniej, pokotem obok żołnierza, pełniąc najcięższą służbę zawsze osobiście.

Podczas odwrotu naszego z Karczówki i Kielc, Herwin z plutonem, po całonocnej wyczerpującej służbie, jak pogotowie bojowe i wysadzanie toru kolejowego, osłaniał odwrót. Już cały oddział po mistrzowsku wyprowadzony przez Szefa był bezpieczny, a Herwina z oddziałem nie było. Uważaliśmy go za straconego. Szef zatrzymał nas wszystkich i zapytał, kto tym, co zostali, gotów jest pośpieszyć z pomocą. Połowa wytrzymalsza i silniejsza zgłosiła się bez wahania. Już zorganizowano nas w oddział, już Szef kierownictwo wyprawy oddał podporucznikowi Burhardtowi, gdy wtem usłyszeliśmy turkot i za chwilę mieliśmy wszystkich całych i zdrowych. Po wycofaniu się naszym z folwarku Czarnowa, patrole Herwina ścierały się jeszcze z podjazdami moskiewskimi. Z zimną krwią wytrzymał bombardowanie dworca i dopiero, gdy wszystkie patrole ściągnęły, siadł na drezyny, później na podwody i zupełnie niespostrzeżony wymknął się z osaczonego dworca.

Niezwykle ciężka próba dla nas, jak odwrót z Kielc na Szydłów, Chmielnik, Stopnicę, Pacanów do Szczucina. Żołnierz głodny i znużony padał zrezygnowany na wszystko. Herwin szedł obok kompanji, od słabszych brał rynsztunek. Słowem i przykładem zachęcał do wytrwania. Jeden z żołnierzy, któremu udało się wyrwać z jakiejś przydrożnej chaty kawałek chleba, przyszedł podzielić się komendantem. Nic nie mówiąc, wziął kęs chleba i oddał najmłodszemu z kompanji.

W Nowym Korczynie staliśmy w koszarach straży pogranicznej. W mieszkaniu oficerskim znaleźliśmy porzuconą bibliotekę rosyjską. Herwin zaczął się wtedy uczyć po rosyjsku na nowelach Turgieniewa i Czechowa, na poezjach Lermontowa i Puszkina. Kilkanaście tych książek wziął ze sobą na ciężką tułaczkę żołnierską, otaczając je zawsze szczególną troską. Pod Brzechowem,

naprzykład, podczas odwrotu z pod Dębłina, jeden z. oficerów spotyka Herwina, biegiem powracającego na opuszczone już nasze okopy. Biegł po zostawione niechcący książki. Jeszcze parę tygodni temu, nad Nidą pożyczał swym oficerom tom dzieł Lermontowa.

Pod Nowym Korczynem prowadził samodzielnie potyczkę pod Uciskowem i Stróżyskami, a następnie powierzono mu nadzwyczaj odpowiedzialną funkcję, osłaniania odwrotu od strony Sępiechowa.

W widłach Dunajca i Wisły, dnia 26 września, w uznaniu jego zasług i zdolności, Komendant Główny dał mu, przyprowadzony przez porucznika Kukiela, bataljon (późniejszy VI). Pamiętam z jakim zafrasowaniem zastosowywał się do rozkazu, który komendantom bataljonu zabraniał noszenia rynsztunku. W czymże jest on lepszy od tego biednego żołnierza z kilkudziesięcio-funtowym rynsztunkiem? Długo jeszcze ukradkiem nosił „zafasowany”

Oleandrach tornister, wypchany książkami, których z radością udzielał amatorom. Zostawił sobie tylko tomik liryk Słowackiego i którąś część „Taktyki” Balka.

Gdy dostał konia, wstydził się na nim jeździć; przecież żołnierze patrzą; jeszcze który pomyśli, że siły mu nie dopisały. Z początku dosiadał go z rzadka i to z nieodłączonym tornistrem; dopiero specjalny zakaz zmusił go do złożenia swej biblioteczki na wozie.

W bitwie pod Laskami, będąc z bataljonem w pierwszej rezerwie, opatrywał rannych, wycofujących się z linii ognia. Na zapytanie: dlaczego niepotrzebnie się naraża, sanitariusze bowiem sumiennie pełnili służbę, odpowiedział: „Cóż będę robił innego w rezerwie? – a przecież i tego uczyłem się przed wojną”.

Pod Krzywopłotami z rozpaczą patrzył, jak karabin maszynowy zniósł mu niemal całą kompanię, którą sam prowadził do ataku. Kule go oszczędziły, choć szedł pierwszy świecąc przykładem. Stąd poszła legenda, że kule go nie imają. Słyszałem w parę miesięcy później jak w ściślejszym kółku przyjaciół, opowiadając ten fakt, mówił: „Wszystkich kula dostała, ja zostałem żywy. Wprost wstyd mi było całym wracać z tego piekła”.

Pod Łowczówkiem, po wyparciu Moskali i zajęciu pozycji, z kilkoma żołnierzami poszedł szukać rosyjskiej broni i amunicji. Przyniósł karabiny i cieszył się, że, jeśli braknie amunicji, będzie można walić do wroga z jego własnej broni. Ogień był silny. On jakby nie słyszał wściekłego wizgu kul, groźnego pęknięcia naboju wybuchowych. Kule przestrzeliły mu kilkakrotnie płaszcz, jedna czapkę tuż nad orzełkiem. Zapewniano go, że już wszystko zebrano i zniesiono; przypomniał sobie, że, gdy wczoraj prowadził do szturm, widział dwie paczki porzuconej amunicji, gdzieś tu niedaleko pod krzakiem jałowcowym.

Nie bacząc na to, że fala ognia się wzmogła, wyskoczył z rowu i po chwili przyniósł obie paczki. Przestraszeni żołnierze wskazali mu, że jest ranny; niedbale odrzekł: „A, wiem! Nic to!” Przemocą niemal odprowadzono go do stacji opatrunkowej. Sanitarjuszom nie pozwolił się patrzeć,

twierdząc, że „kiedy już tak, to niech mnie opatrzy sam Ruppert” (lekarz sztabowy). Szedł o własnych siłach, nie dał się nawet podtrzymać. Rana była ciężka: kula przestrzeliwszy rękę weszła w bok, wtłaczając sprzączkę od szelek. Po opatrunku osłabł, nie chciał jednakże zajmować miejsca na wozie, zostawiając je ciężej rannym.

Z niezagojoną jeszcze całkiem raną wyrwał się ze szpitala i wrócił do brygady, która stała wtedy w Kętach. Przyjechał w nowej bluzie, ze świeżymi kapitańskimi odznakami, czego się wstydził. Z dawnego rysztyunku została mu tylko wyszarzana letnia czapka z przestrzeliną nad orzełkiem.

Podczas przemarszu z pod Tarnowa staliśmy dzień cały w Izdebniku, gdzie obchodziliśmy uroczystą rocznicę styczniowego powstania. Znalazłem w kilku mieszkaniach fotografię Herwina. Był on przed wojną komendantem tutejszych oddziałów strzeleckich Związku. Kochali więc go i wtedy. Przeważnie wszyscy tutejsi strzelcy zostali przydzieleni do brygady Karpackiej, nie przyszło im służyć pod kochanym komendantem.

W rocznicę utworzenia kadrowej kompanii kapitan Kasprzycki zarządził zbiórkę pierwszych swych żołnierzy. Stawili się wszyscy zdrowi i cali na apel. Los rozrzucił ich po różnych oddziałach.

Kilki w dumnych czakach ułańskich z Sirkiem i Wieniawą na czele, kilku z artyleryjskimi czarnymi naszywkami, wreszcie garść piechoty, wśród nich kapitanowie Burhardt i Herwin i kilkunastu niższych oficerów. Herwin przeprowadza apel swego plutonu ze spisu, sporządzonego jeszcze na boisku w Krakowie.

Na zebraniu rocznicowym oficerów całej brygady wznoszono różne toasty. Zapomniano o jednym. Herwin wzniósł toast polskich szeregowców.

Gdy brygada ruszyła na nowe trudy i boje, Herwinowi powierzono dowództwo bataljonu kapitana Rylskiego (kolejny V), którego, dla poratowania zdrowia, wysłano na południe.

Widziałem go ostatni raz na rezurekcji w Mierzwińskim kościełku. Bataljon jego, jako reprezentacyjny, dawał salwy honorowe. Komendę wydawał czapką.

I wreszcie ostatni moment. Dnia tego Herwin był, jak zwykle, prosty, spokojny. Rano prowadził bataljon do ataku; gdy po południu otrzymał rozkaz wycofania bataljonu, wysyłał osobno kompanie leniwo, jakby z żalem, jakby chciał jeszcze zatrzymać je przy sobie. Przeczuwał, że te rozkazy jego, to ostatnie słowa pożegnania... Sam został z małym oddziałkiem i zeszedł ostatni, już o zmroku. Żołnierze stracili go z oczu; nie wiedzieli, co się z nim stało.

Pozostało po nim wspomnienie i ten wypieszczony tomik Słowackiego, który pod Łowczówkiem z porzuconej po opatrunku bluzy wyjął i zachował kapitan Grudziński.

Witkowice w Czerwcu 1915 r.